

Jan Rokita: Fenomenologia słomianej pałuby

Nawet z największych narodowych zwycięstw pałuba potrafi wysnuć ów „wiszący w powietrzu smak żalu”, jakby narodowa porażka była już nie kwestią dziejącej się historii, ale jakiegoś chocholego resentymentu trwale wpisanego w samą esencję polskości. Nie było zaprzepaszczonej Okazji ani nie było porażki, ale jest za to błogi żal, taniec i chochole skrzypce – pisze Jan Rokita w „Teologii Politycznej co Tydzień”: „Wesele i polska forma polityczności”.

Jesienią 1970 roku, na łamach krakowskiego *Znaku*, ksiądz Józef Tischner opublikował esej poświęcony idei słomianej pałuby, okrywającej zimą krzak róży. Było to krótko po wystawieniu w Teatrze Słowackiego *Wesela* w reżyserii Lidii Zamkow, co ponoć miało zainspirować Tischnera do podjęcia próby fenomenologicznego opisu idei Chochoła w polskim życiu narodowym. Byłem wtedy za mały, aby czytać *Znak*, albo oglądać tamto przedstawienie. Ale parę lat później, kiedy byłem już licealistą, słuchałem Tischnera, gdy wrócił do swego dawniejszego tematu w rekolekcjach wielkopostnych, jakie w tamtych latach zwykł prowadzić w krakowskim kościele Dominikanów. Zarówno jego esej, jak i rekolekcje miały ten sam tytuł: *Chochoł sarmackiej melancholii*. Tekst można dziś sobie wygoogłować w sieci, lecz rekolekcji chyba nikt wówczas nie nagrał. W każdym razie, pośród kilku ejdetycznych składników idei Chochoła (m.in. zatrzymanego czasu i osaczającej przestrzeni) fenomenolog Tischner wyróżnił też coś, co potem zacząłem sam odczuwać, jako rozpoznawaną już, a przez to tym dokuczliwszą zadrę na mojej polskości. To wedle tischnerowskiego

sformułowania – „wiszący w powietrzu smak żalu po zaprzepaszczonej Okazji”. Ta Okazja ze swej natury była wyjątkowa, święta i uroczysta, dlatego Tischner pisze ją zawsze z wielkiej litery.

W odpowiedzi na Okazję należało uczynić gest. „Ale gestu nie było, najwyżej jakieś usiłowanie” – pisze Tischner. „Tragiczny paradoks polega na tym, że właściwie nie wiadomo dlaczego”. Jakiś głupi Jasiek zgubił po prostu złoty róg. Ot, i wszystko! Stąd trwała i nieusuwalna konieczność życia wspólnoty w tanecznym błędnym kole porażki i żalu za czymś, co jednak się nie spełniło, w takt muzyki „tego granej” przez człekopodobną kukłę ze słomy. Tischner odkrył dla mnie immanentny związek pomiędzy owym tańcem a banalną, choć straszliwą w skutkach wspólnotową porażką, na którą owa wspólnota od początku była skazana. Od czasu tamtych tischnerowskich rekolekcji żywię przekonanie, że ta ożywiona przez Wyspiańskiego kukła jest jedynym protagonistą *Wesela*. Więcej nawet, że jeśli rzeczy tego świata mają naprawdę swoją „podszewkę”, to być może w ogóle sławne wesele roku 1900 odbyło się tylko po to, aby owa kukła mogła znaleźć w bronowickim dworku scenę, na której w głównej roli wystąpi w polskiej literaturze. Na scenę *Wesela* sprowadzają ją flirtujący ze sobą Poeta i romantyczna Żydówka Rachel, którym w głowie tylko szukanie „poetyczności”, po to, by tę dla weselnym gości „rozdmuchać”, na dodatek wykorzystując naiwność nieświadomych „poetyckiej” intrygi nowożeńców. W jakimś zatem sensie literatura, czy też „poetyczność” jest źródłem klątwy. Wyspiański nigdy nie był w stanie pojednać się z polskością, właśnie dlatego, że schizofrenicznie otaczał jednoczesnym uwielbieniem i nienawiścią narodową poezję, która z melancholijnego żalu za utopijnymi, rzekomo utraconymi Wielkimi Okazjami, potrafiła uczynić specyficzny, łatwo wyczuwalny smak polskości.

Smak nęcący i zarazem ohydny, uszczęśliwiający, a jednak degenerujący tak polskość, jak i Polaka. Zresztą tym właśnie tropem interpretacji zmagania Wyspiańskiego z polskością pójdzie Brzozowski, który odważy się napisać, że: „polska literatura poza Wyspiańskim (...) to biernie przyjmowana niedojrzałość, liryczna nicość, muzyka rozkładu, to norwidowskie życie bez sprawdzianu” [*Legenda*, Lwów 1910, s. 531]. Jest w tym zdaniu z jednej strony oczywiste słowne nadużycie, tak typowe skądinąd dla Brzozowskiego, ale z drugiej – precyzyjnie rozpoznana prawda, iż nikt przed Wyspiańskim nie wyciągnął na narodową scenę owej słomianej pałuby, nie pokazał niszczącej siły jej wpływu na kształt polskość, a w końcu – w finale owej „wesołej, a przez to bardzo smutnej” komedii, nie dał jej w pysk. W tym sensie *Wesele* jest faktycznie swego rodzaju przewrotem w narodowej literaturze. Z perspektywy Polaka XXI wieku nietrudno zauważyć, że tak sam Wyspiański, jak i apoteozujący jego zmagania Brzozowski, mocno przecenili siłę politycznego oddziaływania literatury, a już zwłaszcza narodowej poezji. Współczesny chłopski naród polski, powstały na nowo w efekcie zaborów, powstań, eksterminacji i socjalnego przewrotu przeprowadzonego przez komunistów, na pierwszy rzut oka nie ma wiele wspólnego z kształtowanym niegdyś przez literaturę narodem szlachecko-inteligenckim. Ale słomiana pałuba, rozniecająca w powietrzu post-romantyczny i post-literacki „smak żalu po zaprzepaszczonej Okazji” z pewnością wdarła się również do tej nowej, chłopsko-polskiej duszy.

Tischner nie miałby przecież motywacji, aby akurat wtedy, w czasie schyłkowego Gomułki i świeżo po Marcu 1968, próbować fenomenologii Chochoła, gdyby nie ówczesny smutek rozpamiętywania rzekomo utraconej Okazji sprawiedliwego socjalizmu, ogarniający bynajmniej nie tylko nową „rewizjonistyczną” elitę społeczną,

stworzoną przez komunizm. Tischner dostrzegł to, że owa Okazja była kłamstwem, wzięła się z patologicznego myślowo i moralnie pomieszania utopii i rzeczywistości, zaś takie pomieszczenie zawsze rodzi tylko złudzenie i marazm. Ilekroć powracam do *Wesela*, zawsze uderza mnie fakt, iż spośród licznych i tak kluczowych dla tego tekstu *dramatis personae*, wszystkie one, na czele z matejkowskim Wernyhorą, dającym Gospodarzowi rzekomo świętą obietnicę i złoty róg – są przecież niczym innym, jak wytworami pijackiej wyobraźni i niespokojnych snów zapijaczonych uczestników wesela. Za wyjątkiem jednej – słomianej pałuby, która najzupełniej realnie okrywa krzak róży w zamglonym ogrodzie, zaś Wyspiański każe jej ruszyć się stamtąd, aby rankiem mogła objąć pełnię władzy nad osłabionymi wódką i nocnymi zwidami gośćmi weselnymi. Żadnej Okazji przecież nie było, była tylko zabawa, dużo wódki i poranny chocholi kac. Nieprzyjemny wprowadzie dla ciała, ale melancholijnie uszczęśliwiający polską duszę. Ostatecznie, nawet „Chopin gdyby żył, to by pił”.

W najnowszych ojczystych dziejach już wydawało się, że przekleństwo słomianej pałuby jakimś cudem utraciło moc wraz z politycznym zwycięstwem ruchu „Solidarności”. Tym razem istotnie – była prawdziwa i błogosławiona Okazja i był gest w odpowiedzi. Mocny narodowy gest, któremu zawdzięczamy niepodległość. Jednak natura narodowej duszy to coś o wiele bardziej substancjalnego i trwałego niżli wszelkie najbardziej cudowne przypadki historii. Nie odmieni jej bynajmniej nawet tak głęboka przemiana społeczna, jak śmierć narodu szlachecko-inteligenckiego i narodziny narodu chłopskiego. Więc niemal natychmiast po odzyskanej wolności miało się okazać, że niepodległość jest zafałszowana, bo nie dość wylano za nią polskiej krwi, a Okazję – owszem – wykorzystali tylko komuniści i ich kumotrzy. Nie minęło dużo lat, jak cały heroiczny czas odbudowy państwa i wielkiego zrywu narodu do ciężkiej pracy, aby wydobyć się z

poniżającej nędzy, narodowa mitologia zakwalifikowała jako kolejną porażkę, znów zawinioną przez jakiegoś tam Jaśka, który zgubił róg. A przecież jak zawsze, tak i tym razem, już, już, Matka Boża w koronie na Zamku siedziała i pisała polski narodowy manifest! Eeeż tam, jak zawsze na darmo.

Więc choć Okazja była, to i tak utopia się nie spełniła, a został tylko poranny chocholi kac. Teraz słomiana pałuba musi obsłużyć aż dwa, tym razem już czysto chłopskie wesela, jakie trwają w dworku bronowickim, pośrodku przedzielonym wrogim murem. A że – jak wiadomo – potrafi „tego grać, tego grać”, więc przygrywa do chocholego kadryla jednym i drugim. Tu w takt piosenki: „Miałeś chłopie Polskę, aleś ją oddał liberałom”, a tam znów w rytm słów: „Miałeś chamie Europę, ale ci ją zabrał ciemny katolicki lud”. Tworząc w 1970 roku fenomenologię słomianej pałuby, Tischner wiedział już, że chocholi smak nieusuwalnego zbiorowego żalu rodzi się z kłamstwa rzekomej zaprzepaszczonej Okazji. Wiedział też, że ów żal dostarcza silnego, choć patologicznego spoiwa dla wspólnoty – bierze się ona wtedy za ręce do zbiorowego tańca w sławetnym błędnym kole. Tischner nie znał jednak jeszcze do końca potęgi wpływu słomianej pałuby na polskość. Nie mógł przewidzieć, że nawet z największych narodowych zwycięstw pałuba potrafi wysnuć ów „wiszący w powietrzu smak żalu”, jakby narodowa porażka była już nie kwestią dziejącej się historii, ale jakiegoś chocholego resentymentu trwale wpisanego w samą esencję polskości. Nie było zaprzepaszczonej Okazji ani nie było porażki, ale jest za to błogi żal, taniec i chochole skrzypce. Podobno „szczęście przyjąć chciało, ale mroków się zlekło”. Ach, jak narodowo swojsko i przytulnie! Oby tylko jakiemuś wyznawcy tzw. „ambitnej polityki” nie zachciało się brać z Ojczyzną za bary. Albo co gorsza – nie daj Matko Boża na Zamku – któremuś żadnemu władzy na serio zacząć się o nią bić!

Jan Rokita

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
